

Boczkowski, Zdzisław

Z książką i karabinem : kartki z pamiętnika lat okupacji

Przegląd Pruszkowski nr 1, 10-20

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z książką i karabinem

Kartki z pamiętnika lat okupacji



Zdzisław Boczkowski - pseudonim "Orkan", żołnierz Armii Krajowej - nie jest rodowitym pruszkowianinem, lecz przeżył w naszym mieście i jego okolicy trzy lata okupacji niemieckiej. Mieszkając wraz z rodzicami w Pruszkowie, dojeżdżał w latach 1940-1943 do Warszawy, gdzie uczył się w Technikum Kolejowo-Drogowym.

W kwietniu 1940 roku wstąpił do konspiracji. W dwa lata później ukończył w Pruszkowie podchorążówkę. W 1943 roku został przeniesiony do obwodu Mińsk Mazowiecki, gdzie na placówce Stanisławów pełnił funkcję zastępcy dowódcy plutonu, a następnie dowódcy tajnej radiostacji M-2.

W sierpniu 1944 roku został powołany do wojska, gdzie służył przez dwa lata.

Po demobilizacji pracował w Głównym Urzędzie Pomiarów Kraju w Warszawie, a następnie w Państwowym

Przedsiębiorstwie Geodezyjno-Kartograficznym.

Obecnie nie pracuje już zawodowo, mieszka w Katowicach.

I. Konspiracja i nauka

Po przeniesieniu się do Parzniewa i zakończeniu działań wojennych, jak już wspomniałem wcześniej, pracowałem w stajni.

W połowie kwietnia 1940 roku zostałem skontaktowany z podporucznikiem pułku ułanów - Bolesławem Ostrowskim, najstarszym bratem moich dwóch kolegów. Bolesław, ciężko ranny w biodro, chodził o lasce

i jako inwalida nie musiał siedzieć w obozie oficerskim. Był bardzo czynny w tworzeniu organizacji podziemnych. Pod koniec wojny walczył w Powstaniu Warszawskim, przepłynął Wisłę. Wstąpił do pułku kawalerii w armii Berlinga i zginął jak bohater pod Berlinem, podrywając spieszony szwadron do ataku.

Bolek zaproponował mi wstąpienie do tajnej organizacji. Odpowiedź moja była następująca:

- Jeżeli to jest organizacja wojskowa to tak, a jak polityczna to nie. -

I tak, po złożeniu przysięgi, znalazłem się w szeregach Tajnej Armii Polski, która za jakiś czas została wcielona do Związku Walki Zbrojnej, by w końcu zmienić nazwę na Armię Krajową.

Początkowo zadaniem moim było zbieranie i konserwacja broni, a także przyglądanie się i rozmowy z ludźmi, którzy nadawali się do konspiracji, gromadzenie siodel i uprzęży, bo za rok trzeba będzie ruszać do walki.

Od września 1940 roku, to jest od rozpoczęcia przeze mnie roku szkolnego w Technikum Kolejowo-Drogowym w Warszawie, dodatkowym moim zadaniem było przewożenie konspiracyjnej prasy z Warszawy do Pruszkowa. Pobierałem ją od porucznika "Ersa" - Romana Grotkowskiego z Placu Teatralnego.

Z Parzniewa, gdzie wówczas mieszkaliśmy, do kolejki EKD w Komorowie, lub do stacji PKP w Pruszkowie, jeździłem konno. Luzak konia zabierał i przyprowadzał. Dla pasażerów EKD robiłem prawie zawsze małe przedstawienie. Na konia nie wsiadałem normalnie, tylko wskakiwałem wtedy, gdy był on w pełnym galopie. Dziewczyny biły brawo a w oczach chłopaków widziałem podziw i zazdrość.

Kiedy Niemcy wyrzucili nas z Parzniewa, zamieszkaliśmy w Pruszkowie, a ja dalej uczyłem się i konspirowałem. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej, a potem podchorążówki, szkoliłem żołnierzy. W suterenie, gdzie przechowywaliśmy węgiel i drewno, magazynowaliśmy pod podłogą broń, konserwując ją i wydając na różne akcje prowadzone przez Oddziały Specjalne AK.

W związku z aresztowaniem kilku naszych przełożonych i kolegów, musieliśmy szybko zlikwidować skład broni, wyciągnąć z różnych schowków tajne papiery i uciekać z domu. Jako kapral, a potem kapral podchorąży, pełniłem funkcję dowódcy drużyny.

W roku 1943 skończyłem szkołę techniczną i 10 lipca ożeniłem się. Po ślubie wyjechałem do Stanisławowa, do ojca, by mu pomagać w polu i zapracować na utrzymanie mojej rodziny, która miała się niebawem powiększyć. Stanisławów stał się od tej chwili terenem także mojej pracy konspiracyjnej. Pełniłem tam obowiązki zastępcy dowódcy plutonu. Szkoliłem żołnierzy, brałem udział w odbiorze zrzutów i w kilku akcjach odwetowych.

Od 1944 roku objąłem dowództwo tajnej radiostacji M-2 i przeszedłem na płatny etat.

A teraz o rzutach i jednej z ciekawszych akcji.

Samoloty, załadowane bronią, sprzętem oraz skoczkami, wylatując z Brindisi w Italii, przylatywały do nas nocą. Nie wiem, ile takich rzutowisk było. Oficer, przyjmujący rzut na danym rzutowisku, a prócz niego kilku z nas - młodszych dowódców osłaniających teren, gdzie na spadochronach lądowali ludzie i kontenery ze sprzętem - znaleźmy melodię stanowiącą kryptonim naszego rzutowiska, nadawaną w oznaczonej godzinie przez radio BBC. Zasiadaliśmy więc przy odbiorniku, za słuchanie którego groziła kara śmierci i po wysłuchaniu dziennika nadstawialiśmy w wielkim podnieceniu uszu, czy zagrają naszą melodię? Gdy zagrali naszą, rozchodziliśmy się do naszych oddziałów i po podaniu żołnierzom hasła i odzewu, wyruszyliśmy w pełnym uzbrojeniu na uprzednio wyznaczone miejsce, by otoczyć pierścieniem rzutowisko i zablokować drogi bite przebiegające w jego pobliżu. Na asfalt, czy bruk, w pewnej odległości od zasadzki, sypaliśmy specjalne metalowe kolce do przebijania opon samochodowych. Ustawialiśmy karabin maszynowy. Zadaniem placówki było nie dopuścić nieprzyjaciela w rejon rzutowiska, albo w najgorszym wypadku opóźnić jego przybycie. W tym czasie inna drużna z przygotowanych wcześniej gałęzi, układała kopczyki, które podpalała na odgłos warkotu silnika samolotowego, wskazując w ten sposób miejsce rzutu. Kopce te nie były rozmieszczone dowolnie, lecz tworzyły figury geometryczne. Umożliwiało to lotnikom identyfikację rzutowiska. Podobno zdarzały się wypadki, że Niemcy, jak i oddziały innych organizacji, znając układ ognisk, zmyślały lotników i przejmowały rzut przeznaczony dla nas.

Zamiast ognisk były też używane latarki elektryczne. Zawsze obowiązywała cisza i zakaz palenia. Wszyscy nasłuchiwali warkotu samolotu. Wreszcie słychać ciche brzęczenie, napięcie wzrasta, ale pewności nie ma, bo nocą latali również Niemcy. Warkot potężniejszy, pada rozkaz zapalenia gałęzi, lub włączenia latarek. Samolot nadlatuje, zawraca, błyska kolorowymi światełkami - wita nas. Głowy zadarte, czasem mignie biała czasza nylonowego spadochronu, uderzy głucho w ziemię kontener. Słychać głosy. Padają zapytania:

- Hasło? Odzew?

Samolot robi jeszcze jeden nawrót, na pożegnanie znowu miga do nas kolorowymi światełkami, a my gasimy szybko ogniska, doprowadzamy w oznaczone miejsca rzutków, zbieramy kontenery i spadochrony. Goście z nieba na furmankach, pod dobrą ochroną, odjeżdżają na kwaterę gdzie odpoczną, zostaną zapoznani z naszymi warunkami i rano rozjadą się w wyznaczone im rejony, najczęściej do Warszawy. Kontenery pod ochroną

jadą furmankami do wcześniej przygotowanych w kilku miejscach schowków. Po jakimś czasie część znajdującej się w nich broni i sprzętu pojedzie do Warszawy, by w okresie powstania spełnić swoje zadanie. Po godzinie spadochroniarze, wraz z dowódcą zrzutu i obwodu, siedzą przy stole u moich rodziców i spożywają spóźnioną kolację. My pilnujemy na zewnątrz. Okna zasłonięte, kontakt z przybyszami wzbroniony.

Kiedyś ojciec kupił dwa piękne konie - taranty. Lekka budowa, wysokie, rzadkiej maści: na prawie białym tle kasztanowe duże plamy. Długi biały ogon i także grzywa. Widok ich zachwycił nie tylko koniarzy. Zachwycił i naszego dowódcę obwodu. Chciał je mieć. Widocznie pertraktacje między nim a ojcem nic nie dały, bo konie stały w naszej stajni. Otrzymałem rozkaz wysadzenia gorzelni w majątku Rudki (nazwy dobrze nie pamiętam). Jadąc rowerem spenetrowałem rejon majątku i gorzelni. Przeprowadziłem rozmowy z mieszkańcami wsi. Okazało się, że w majątku, we dworze otoczonym wysokim murem, jest ochrona niemiecka w sile jednej drużyny z karabinem maszynowym, mającej łączność telefoniczną z żandarmerią w Mińsku Mazowieckim. Sporządziłem szkic terenu i zabudowań z zaznaczeniem rozmieszczenia poszczególnych drużyn czy sekcji, które muszą przeciąć łączność, niszczyć kilka słupów i zająć dogodnie miejsca do ochrony i obrony sekcji minersów. Mój plan wykonania zadania został zatwierdzony. W oznaczonym dniu, po zapadnięciu zmroku, wyszły do akcji 3 drużyny z różnych wsi do Rudek. Maszerowałem z drużyną ze Stanisławowa. Na rozkaz dowódcy okręgu był w niej mój brat i dwaj bliźniacy pełniący na zmianę obowiązki stróżów nocnych w naszym gospodarstwie. Folwark został ogołocony z młodych ludzi. Przed Rudkami spotkałem się z patrolem minerskim, niosącym ze sobą minę. Do akcji przystąpiliśmy cicho, a w chwilę po wysadzeniu kotła gorzelni i zniszczeniu urządzeń, narobiliśmy sporo hałasu, by Niemcom strzegącym folwarku zdawało się, że jest nas cztery razy więcej. Bałem się drogi powrotnej drużyny do Stanisławowa, gdyż prowadziła ona między murem okalającym park i stawami. Przesmyknęliśmy się jednak szczęśliwie. Niemcy siedzieli cicho. Woleli nie rozpocząć wojny z tak "dużym" oddziałem partyzanckim. Nad ranem, wchodząc na teren gospodarstwa, zauważyliśmy, że wrota stajni są otwarte. Zdziwiło to nas, bo przed wyjściem na akcję pozamykaliśmy wszystkie drzwi na kłódki. Zdziwienie było jeszcze większe, gdy stwierdziliśmy, że boksy po koniach - tarantach są puste. Taka to była dola konspiratorów.

II. Sławetne nocne ćwiczenia

Z uwagi na brak młodszych dowódców, z inicjatywy ówczesnego dowódcy AK, generała Roweckiego-Grota, już w maju 1941 roku powołano Szkoły Podchorążych Piechoty. Program szkolenia był podobny do przed-

wojennych SPRP. Podchorążowie musieli posiadać przynajmniej średnie wykształcenie. Roczniki szkolne, to znaczy turnusy, dzieliły się na kursy, a te na klasy.

W 1942 roku w moim VI Rejonie VII Obwodu "Obroża" skończyłem pierwszy turnus w klasie "A" w stopniu kaprała podchorążego. Szkolenie odbywało się w polu, w odległych miejscach, w lasach, a teorię wykuwaliśmy w domach podchorążych. Uczyliśmy się taktyki walki partyzanckiej i w terenie i w mieście. Poznawaliśmy budowę broni ręcznej i maszynowej oraz zasady posługiwania się tą bronią. Uczono nas także zasad pełnienia służby wartowniczej, podstaw musztry i topografii.

Na okres szkolenia w podchorążówce byliśmy wyłączeni z ram organizacyjnych AK. Była to podwójna konspiracja. Instruktorami byli najczęściej zawodowi oficerowie. Dowództwo kursów podchorążych zdecydowało przeprowadzić koncentrację i nocne ćwiczenia.

Temat: kompania piechoty w marszu ubezpieczonym w nocy.

Zostałem wyznaczony na starszego "Klasy A" II-go turnusu. Moim zadaniem było: dowieźć pociągiem pięciu młodszych kolegów z Pruszkowa do stacji Michalin, gdzie łączniczki miały nas spotkać i odprowadzić na miejsce koncentracji. Siedzieliśmy w różnych przedziałach udając, że się nie znamy. Jak zauważyłem, pociągiem tym jechało wielu chłopców, którzy wysiadali na różnych stacjach przed Michalinem lub jechali dalej. W Michalinie na peronie stały w kilku miejscach młode i bardzo ładne dziewczyny. Jedna z nich podeszła do mnie i wymieniła hasło. Kontakt został nawiązany. Wzięła mnie pod rękę, wymieniła jakieś imię, ja swoje i gruchając ze sobą jak para zakochanych, zaczęliśmy iść w kierunku lasu. Dyskretnie oglądając się za siebie, widziałem idących parami w przepisowych odległościach młodszych kolegów. Nie mieliśmy żadnych plecaków i teczek. W kieszeniach nie było nic, co by nas zdekonspirowało w oczach napotkanych i ewentualnie rewidujących nas żandarmów. Dowody tożsamości, tzw. "kennkarty" lub legitymacje szkolne - były prawdziwe.

W miejscu koncentracji, gdy już doszli wszyscy koledzy z Pruszkowa, ustawiliśmy się w szereg, a ja zameldowałem komendantowi "Erstowi" (Roman Grotowski) przybycie grupy. To, co robiliśmy do momentu ćwiczeń nocnych, nie utrwaliło się w mojej pamięci. Natomiast to, co nastąpiło potem, będę pamiętał do końca moich dni.

Ciemna bezksiężycowa noc, około stu chłopców stoi w lesie, w kolumnie na szerokiej piaszczystej drodze. Ja, jako dowódca szperaczy, stoję we wzrokowej odległości tak między kolumną, jak i szperaczami czołowymi i bocznymi, którymi są chłopcy z Pruszkowa. Zadanie otrzymałem proste. Maszerując po osi drogi ubezpieczać kompanię od czoła. W czasie domarszu, ani w miejscu koncentracji nigdzie nie widziałem jakichś uzbrojonych placówek, ani patroli ubezpieczających.

Ruszyliśmy. Panowała cisza zmącona od czasu do czasu turkotem kół i buczeniem syren pociągów. Opodał trzasnęła gałąź przydeptana przez bocznych szperaczy.

Całodzienne zmęczenie, ciepła czerwcowa noc i proste zadanie odewały moje myśli od drogi, po której maszerowaliśmy i przeniosło w rejon mojego wygodnego łóżka w domu w Pruszkowie. Przebudzenie było nagłe i brutalne. Błyski latarek, strzały, okrzyki:

- Halt! Hende hoch! -

W las uderzył "huragan". Pod naporem pędzących w ucieczce młodych silnych ciał trzeszczały krzaki, gięły się i pękały gałęzie. Czasami słychać było głucho uderzenie i stęknęcie po zderzeniu się uciekającego z pnem drzewa.

Wiara wiała, a ja za nią. Zaczepiłem o coś nogą, fiknąłem kozła. "Huragan" zacicha. Nie widać błysku latarek, nie słychać strzałów ani krzyków. Z miejsca, gdzie była zasadzka, dobiegł mnie cichy śmiech. Przyszło otrzeźwienie. Zamiast nóg zaczęła pracować głowa. Gdyby to byli Niemcy, to nie poprzestaliby na kilku strzałach. To robota swoich! Dowódca chciał sprawdzić wytrzymałość psychiczną i zachowanie się bezbroniowych młodych ludzi w spotkaniu z uzbrojonym i zaczajonym wrogiem!

Kryjąc się i uważając, by nie narobić hałasu, podpełzłem do drogi. Stała tam grupa ludzi. Mówili po polsku i śmieli się. Nie podchodziłem do nich, aż usłyszałem głos dowódcy "Ersta". Na jego rozkaz rozeszliśmy się po lesie, krzycząc:

- Zbiórka! Zbiórka!

Efekt był mierny. Dopóki było ciemno nie wywołaliśmy z krzaków niko-go. Dopiero gdy zaczęło świtać kilku kolegów kryjących się za drzewami w bezpiecznej odległości, nawiązało z nami rozmowę. Skrót jej wyglądał mniej więcej tak:

- To wy Polacy?

- Z jakiego miasta?

- Na jakiej wysiedliście stacji?

- Pseudonim dowódcy koncentracji?

Ci, których przekonały nasze wypowiedzi, że nie jesteśmy prowokatorami, wychodzili i dołączali do nas. Do rana zebrało się nas około dwudziestu. Ze swojej grupy wywabiłem z chaszcy tylko elewa "Roga" (Edward Reszel). Reszta grupy, to jest mój brat "Wrzos" (Tadeusz Boczkowski), brat cioteczny "Ulewa" (Olgierd Bujwid), "Lawina" (Tadeusz Targowski) i "Rozszak" (Fibinger) - zniknęli jak kamfora. Serce moje targał niepokój o wszystkich podchorążych, a szczególnie o braci. Bałem się, że mogli w czasie ucieczki wpaść w ręce żandarmów. Wyobraźnia podsuwała różne obrazy i przypuszczenia, między innymi to, że w Pruszkowie, w naszym mieszkaniu

wróg "zakłada kocioł" oraz następstwa, które mogą nas spotkać i to nie tylko mnie, ale być może zemsta rozciągnięta zostanie na moich najbliższych.

Po rozwiązaniu koncentracji smętne resztki, pozostałe po bezkrwawym rozbiciu kompanii w marszu ubezpieczeniowym w nocy, wracały pociągiem do domów.

A co się działo z moimi braćmi? Uciekali w kierunku Warszawy. Ich drogi biegly prawdopodobnie czasami równolegle, czasami się przecinały. Prowadził ich turkot kół pociągów na linii Warszawa - Otwock. Nie mogli iść zbyt blisko torów, które były pilnowane przez Niemców. Niebezpiecznie było iść ulicami miasteczek. Musieli forsować ogrodzenia, chowali się przed każdym zauważonym człowiekiem, byli napastowani przez psy, których szczekanie towarzyszyło im na całej drodze ucieczki. O świcie dobrnęli do Wisły.

Tadeusz - świetny pływak - pokonał ją wplaw, a Olgierd przeprawił się znalezionym kajakiem. Spotkali się na dworcu głównym. Rada w radę doszli do wniosku, że nie ma co jechać do Pruszkowa, bo w związku z pojmaniem mnie przez hitlerowców tam może być już "kocioł". Zdecydowali się jechać do moich rodziców, którzy wówczas mieszkali 18 kilometrów od Mińska Mazowieckiego, w Stanisławowie.

Piękny słoneczny dzień, trudy całonocnej ucieczki, głód, ból potłuczonego i podrapanego ciała utrudniał im marsz. Przysiadali więc dość często w przydrożnych rowach aż zasnęli i to tak mocnym snem, że nie rozbudził ich turkot kół wozów na szosie, ani głośnie rozmowy przechodzących ludzi, którzy oburzali się na młodych pijaczków - za jakich ich brali.

W tym czasie jechał furmanką ze Stanisławowa do Mińska mój ojciec. Nie chciałbym przeżyć tego, co on przeżył na widok leżących podrapanych na twarzy i rękach i w porwanych ubraniach, chłopców. Budzenie trwało długo i było poparte nie tylko słowami, ale i szturchańcami. Gdy trochę oprzytomnieli, przedstawili ojcu swoją wersję zdarzeń i przypuszczenie dotyczące mojej osoby. Ojciec zawrócił wóz, kazał im wsiąść i jechać do Stanisławowa. Sam postanowił jechać pociągiem do Pruszkowa.

A tymczasem ja bez przeszkód przyjechałem do Pruszkowa. Chytkiem dostałem się do parku "Sokoła", położonego naprzeciw naszego domu i skrycie obserwowałem, co się tam dzieje. Bałem się, czy nie czekają już w mieszkaniu gestapowcy. Wychodzili i wchodzili w bramę różni sąsiedzi, wreszcie wyszła ciotka Wacława, matka Olgierda. Przekonawszy się, że nikt jej nie śledzi, podszedłem do niej

- A Olgierd i Tadeusz? - zapytała ciotka.

Byłem przygotowany na to pytanie. Zacząłem więc kręcić, że oni jeszcze zostali na ćwiczeniach i przyjadą wieczorem. Aktorem jednak byłem

zawsze marnym. Zostałem rozszyfrowany. Ciocia, aktywistka AK, utykająca po różnych kątach tajną prasę i jakieś papiery, orientująca się, że w suterenie pod podłogą mamy kilka sztuk broni, przełamała strach o jedyne go syna i zaczęła organizować ewakuację konspiracyjnej bibuły i broni. Następnie zapakowała mi plecak i gdy już miałem wyjść z domu, by skryć się u znajomych na przedmieściu Pruszkowa, wszedł ojciec. On równie długo jak ja obserwował dom, nim tu wszedł. Wszystko się wyjaśniło. Radość była ogromna. Bracia dojechali do Stanisławowa i tam mieli taką samą przeprawę z moją mamą, jak ja z mamą Olgierda.

Spotkany, zdaje się w 1936 roku, dowódca sławetnych ćwiczeń przyznał się, że miał duże nieprzyjemności od władz zwierzchnich za tak - delikatnie mówiąc - nieprzemyślane ich przeprowadzenie. Od odpowiedzi na pytanie, czy ktoś z uciekających ucierpiał, uchylił się.

III. Radiostacja M-2

Byłem dowódcą ochrony tajnej radiostacji ruchomej M-2, działającej na terenie powiatu Mińsk Mazowiecki w 1944 roku

Zadanie radiostacji polegało na przesyłaniu meldunków z Komendy Głównej Armii Karjowej i odbieraniu rozkazów ze sztabu Wojska Polskiego w Londynie. Tak meldunki jak i rozkazy były pisane szyfrem na cienkich bibułkach. Miejsce i czas "grania" radiostacji wyznaczali dowódcy obwodu. Graliśmy raz lub dwa razy w tygodniu. W międzyczasie pracowaliśmy w domu u rodziców. Kadre stanowili: dowódca, radiotelegrafista i goniec. Meldunki i rozkazy przewożone były przez specjalne łączniczki, jeżdżące najczęściej pociągami na linii Warszawa - Mrozy. W oznaczonym czasie i miejscu goniec odbierał od łączniczek meldunki i przekazywał rozkazy.

Wyposażenie radiostacji stanowiły trzy pistolety maszynowe typu "Sten" z zapasowymi magazynkami, trzy "Colty" kalibru 11, kilka obronnych granatów, trzy rowery, dwa plecaki z radiostacją, anteną i dynamem. Moje obowiązki, jako dowódcy ochrony, polegały na przejęciu na czas "grania" od dowódcy placówki dowództwa nad ludźmi czuwającymi nad bezpieczeństwem "grających". Byli to mieszkańcy najbliższych wsi, żołnierze AK. Najczęściej była to drużyna, około 10 ludzi.

Pełnienie swoich obowiązków rozpoczynałem od rozpoznania terenu, skrytych dojsć i dróg ewentualnego wycofywania się. Układałem plan rozstawienia posterunków i czujek. Następnie przejmowałem ochronę. Pouczałem, jak mają się zachować w wypadku zagrożenia, sprawdzałem ich broń. Najczęściej były to karabiny "Mauzer" radomskiej produkcji i pistolety "Vis".

Z kolei przystępowałem do rozprawienia połowy stanu na posterunki, wyznaczałem zadania, wskazywałem miejsca i drogi zagrożeń, określa-

łem kierunku i pasy obserwacji. Pozostali żołnierze byli rozlokowani możliwie najbliżej radiostacji, stanowiąc jej bezpośrednią ochronę. Po wykonaniu tych czynności zezwalałem radiotelegrafście na zdjęcie z roweru plecaka z radiostacją, właściwego jej ustawienia, a gońcowi na wyjęcie z plecaka prądnicy, przykręcenie jej do ramy roweru, zdjęcie tylnego koła roweru i połączenie łańcuchem koła napędowego z prądnicą.

O wyznaczonej godzinie radiostacja rozpoczęła pracę. Gонец, siedząc na odpowiednio usztywnionym rowerze, napędzał prądnicę, radiotelegrafista ze słuchawkami na uszach, naciskając klucz radiostacji, nawiązywał łączność z Londynem.

Jeżeli teren pozwalał na to, krążyłem między posterunkami lub przez lornetkę obserwowałem okolice.

Po zakończonym seansie zwiłaliśmy radiostację: plecaki i broń przekazywaliśmy dowódcy placówki i rowerami odjeżdżaliśmy do domu, by za parę dni, już w innym miejscu, powtórzyć czynności, o których mówiłem wcześniej. Największym zagrożeniem dla radiostacji były samoloty "Storch", nazywane przez nas bocianami, które już po kilkunastu minutach gry radiostacji, zaczynały krążyć nad naszymi głowami. One same nie mogły nam zaszkodzić, gdyż nie były uzbrojone, pracowaliśmy w ukryciu, więc Niemcy słyszeli tylko pracę naszej radiostacji. Groźne jednak były z tego względu, że kierowały samochodami pelengacyjnymi, które przy pomocy własnych urządzeń podsłuchowych zaciskały, w miarę upływu czasu, pierścień wokół nas. W zasadzie na bezpieczne granie mieliśmy tylko tyle czasu, ile trwa jazda samochodem z Warszawy czy Rembertowa, gdzie prawdopodobnie były bazy samochodów pelengacyjnych.

Spostrzeżenie takiego samochodu było dla nas ostatnim sygnałem do zwinięcia radiostacji i szybkiego, skrytego odejścia marszem ubezpieczonym z miejsca grania. By mieć jak najwięcej szans na późne odkrycie, graliśmy najczęściej w lasach.

Po tym przydługim wstępie, który jest jednak konieczny, by zorientować się w pracy radiostacji, przystępuję do opisanego jednego z najważniejszych zdarzeń mego życia.

Działo się to na przełomie czerwca i lipca 1944 r. Graliśmy w odległości około 1,5 do 2 kilometrów od szosy Warszawa - Lublin, nie daleko wsi Glinianka, na brzegu niewielkiego lasu, w starej stodole. Szosa była widoczna gołym okiem. Piękna pogoda, około godziny 19,00. Porozstawiałem posterunki od lasu, gонец "Franek" przykręcił prądnicę, radiotelegrafista "Wrzos" (Ryszard Bartnicki) wychowanek sławnego radiotelegrafisty "Białego", porozwieszał na kółkach antenę. Rozpoczęliśmy granie. Panował spokój, nie pokazał się "bocian". Obchodząc posterunki i mając na oku szosę, skąd mogłem spodziewać się zagrożenia, zauważyłem w pewnym

momencie zwiększony ruch wojskowych samochodów mniej więcej 20 osobowy oddział kawalerii.

Grupa ta zatrzymała się na szosie naprzeciwko stodół, gdzie pracowała radiostacja. Po jakimś czasie wysiedli z samochodów żandarmi i zaczęli rozwijać się w tylarię. Sytuacja stała się jasna, zostaliśmy namierzeni, prawdopodobnie przez samoloty pelengacyjne.

Wydałem rozkaz natychmiastowego zwinięcia radiostacji. Radiotelegrafista nadał odbiorcy umówionu znak - "niebezpieczeństwo". Zapakowaliśmy sprzęt do plecaków i w zapadającym mroku, marszem ubezpieczonym, idąc od lasku do lasku oddalaliśmy się od szosy.

Za sobą od czasu do czasu słyszeliśmy strzały, a niebo rozświetlały rakiety. Zrobiło się ciemno. Widoczność zmalała do około 50 metrów. Szperacze, idąc drogą między zbożami, zbliżyli się do granicy łąny żyta i łąki, za którą majaczyły kontury stodół i zatrzymali się. Ja także zatrzymałem oddziałek i podszedłem do szperaczy. W tym momencie zauważyłem, że kilka krzaków rosnących na łące zaczyna się ruszać. Nie zdążyłem wydać żadnego rozkazu, gdy z tych krzaków odezwały się serie strzałów i wołanie: "*Hände hoch!*"

Skamieniałem, nie mogłem się ruszyć, nie wiedziałem, co robić. Do jakiej takiej przytomności i decyzji natychmiastowej uciezki zmusił mnie dochodzący zza moich pleców brzęk padającego na drogę żelastwa i tupot uciekających nóg.

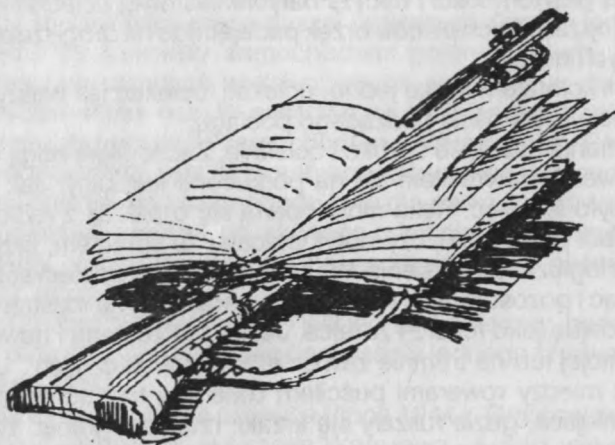
W myśli kołatało mi tylko jedno: uciekać, uciekać jak najszybciej. Nogi niosły mnie z szybkością pędzącego pociągu.

Zatrzymanie nastąpiło szybko i boleśnie. Zaczepiłem nogą o leżący na drodze rower, przewróciłem się na porzucone karabiny. Jak się później okazało, było ich pięć. Ręka moja oparła się o plecak z radiostacją. Nie wiem czy ból po upadku, czy dotyk plecaka ze sprzętem, przywróciły mi możliwość logicznego myślenia. W ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że uciekając i pozostawiając radiostację, narażę się na rozstrzelanie przez swoich. Odejdę jako tchórz i zdrajca. Jeżeli zaś zostanę i nawet zginę, to na piersi mojej lub na trumnie zawisnie "Krzyż Walecznych". Uspokoilem się. Leżąc między rowerami puściłem dwie czy trzy serie ze "Stena" w kierunku miejsca, gdzie ruszały się krzaki, rzuciłem granat. W chwilę po tym usłyszałem dwa charakterystyczne, głuche strzały z "Colta". Te strzały, pochodzące - jak się domyśliłem - z "Coltów" Franka i Rysia, jak i brak strzałów od strony łąki, podniosły mnie na duchu. Poczułem się uratowany. W parę minut potem usłyszałem warkot odjeżdżającego motocykla z okolic stodół, a od tyłu dołączyli do mnie Franek i Rysio. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że bezpośrednie zagrożenie minęło. Nastąpiło odprężenie, trzęśliśmy się jak liście osiki. Wszystko to na szczęście minęło szybko, gdy tylko

zaczęliśmy przywiązywać karabiny do rowerów. Biegając obok nich, w miejscach, gdzie jazdę uniemożliwiał piasek, lub kręcąc pedałami gdy pozwalała na to droga, oddaliliśmy się od miejsca feralnego spotkania.

Jak się później okazało, był to patrol motocyklowy jednego skrzydła obławy, które nie zdążyło się połączyć z drugim, by zamknąć nas w saku. Świtało, gdy zataczając się ze zmęczenia, w jakiejś samotnie stojącej stodole zagrzebaliśmy się w sianie i przespali wiele godzin. Nasi "dzielni obrońcy" z ochrony wszyscy dotarli do domów, chociaż połowa bez karabinów.

Po tym spotkaniu przyszła mi do głowy - jak chyba i wielu przede mną - refleksja, że do czynów określanych jako bohaterские częściej zmusza pokonanie strachu, determinacja, beznadziejna sytuacja, niż brak poczucia strachu lub chłodna kalkulacja.



rys. Jerzy Blancard